













Prof. Tadeusz Kielanowski wspomina... (2)

# BIAŁYSTOK bliski memu sercu

Prezentujemy Czytelnikom dalszy ciąg wspomnień prof. dr. hab. TADEUSZA KIELANOWSKIEGO, spisanych w jego książce pt. „Prawie cały wiek dwudziestych”. Autor — organizator i pierwszy rektor białostockiej Akademii Medycznej zapamiętał mnóstwo szczegółów z pierwszych lat pięćdziesiątych, kiedy to w dwiżającym się ze zgliszcz Białymostu tak wiele stawało się od nowa bądź po raz pierwszy.

NIE ULEGA WATPLIWOSCI, iż niejednemu fakt utrwalał w zapisanych przez Autora wspomnieniach jest dziś cennym przyrzeczeniem kronikarskim, uzupełniającym dokumenty już historyczne z dziejów powojennego szkolnictwa medycznego, rozwoju miasta i regionu. A wówczas, przed niespełna 40 laty było to ciągle zmaganie się z oporną materią rzeczywistości. Jaką była — oceniamy dziś, z perspektywy coraz lepiej. — Aż dziw, że tak wiele udało się osiągnąć pracowitym i upartym pionierom-nawigatorom.



Pierwsza rada Wydziału AMB. Siedzą od lewej: profesorowie — Witold Stawinski, Tadeusz Dzierżykraj-Rogalski, Tadeusz Kielanowski, Jakub Chlebowski, Tadeusz Czystohorski. Stoją — Józef Biborski, Kazimierz Rodziejewicz, Franciszek Karpiński, Aleksander Obuchowski, Krystyna Modrzewska i Jerzy Plak.

Zdjęcia w obu odciśnięciach wspomnień prof. Kielanowskiego reprodukcje wykonane są przez Z. Zarembe z książki Autora.

Kolejne tego przykłady znajdziemy w dalszym ciągu rozdziału „BIAŁYSTOK” ze wspomnianej książki:

„Nie przewidywałem, że będzie tyle kłopotów ze znalezieniem i zatrudnieniem właściwych ludzi w administracji uczelni. Niestety, nie pomógł mi tu kolega pełniący funkcję dyrektora administracyjnego, lekarz, bardziej zainteresowany swoimi pracami medycznymi. Miałem natomiast szczęście do kwestora, bo pan Aleksander Bajkowski był fachowcem i człowiekiem doświadczonym i dwukrotna kontrola uczelni przez Najwyższą Izbę Kontroli dokonana po dwu i pięciu latach jej istnienia, nie wykazała nawet najmniejszej nieprawidłowości ani błędów. Wiele z innych pracowników musiałem zmieniać. Największe kłopoty miałem z pracownikami gospodarczymi, który nie inwentaryzował magazynów, opuszczał dni pracy, bo „pracował” podobno gdzieś „społecznie”, a jak się potem dowiedziałem, zamieszkał Komitet Wojewódzki prośbami o mianowanie go zastępcą rektora do spraw polityczno-wychowawczych. Był to agresywny półinteligent, pozabawiony jakiegokolwiek wiedzy, w tym także politycznej.

Przez dwa chybła lata miałem także kłopoty z zakładaną organizacją partyjną. Było wielu członków partii wśród pracowników administracyjnych, ale tylko jeden nauczyciel akademicki (na sześciu zaangażowanych) i jeden asystent. Pierwszym sekretarzem wybrałem pana B., z zapowiadającą się karierą. W akademii pracował jako laborant, mimo absolutnego braku jakiegokolwiek kwalifikacji zawodowych. (...) Odszedł, ale w Komitecie Wojewódzkim martwił się, że nie było nowego kandydata. Następny musiał odejść, bo był bez przerwy w konflikcie z wszystkimi. Trzecim był „inteligent”, magister czegoś tam, zatrudniony jako p. kierownik Biblioteki Naukowej. Zakładał wyuczanie z kolegiół, jakie możliwości gromadzonego, wszystkich medycznych dzieł i czasopism „zachodnich” jako ideologicznie błędnych. Został zwolniony z funkcji partyjnej i z biblioteki.

Komitet Wojewódzki (bardzo lojalnie, po rozmowie ze mną) przysłał mi wtedy, jako sekretarza etatowego, młodego chłopca, nauczyciela z dużej wsi czy miasteczka Gródek. Miał wielką treść i przynosił mi się do niej. Eksperyment się udał. Pan Józef Sulima był szanowany przez wszystkich i lubiany przeze mnie do końca mojej pracy w Białymostku. Miał wrodzoną inteligencję, takt, dobrą wolę

i rozumiał rolę partii w uczelni. Pomógł rozwiązać niejedną sprawę, dbał jak mógł o rozwój uczelni, cenilem jego pomysły i jego rady. Rady młodzieńca? Tak! Bo jak już wspominałem, nie pierwszy raz przekonywałem się, że trudnych funkcji ludziom starszym powierzać nie należy.

Miałem także szczęście w doborze dyrektora administracyjnego po odejściu kolegi Jodkowskiego do pracy medycznej, w której niebawem uzyskał doktorat u mnie jako promotora. Z prac społecznych, z różnych wyjazdów w teren znanym nauczyciela Ignacego Popowskiego, pracownika PCK. Bardzo bystry i inteligentny, może niezbyt pracowity, za to doświadczony, umiejący wszystko załatwić we wszystkich urzędach i biurach w Białymostku i w Warszawie, został dyrektorem administracyjnym na długo. Wiele lat po opuszczeniu przeze mnie Białegostu zginął, powszechnie żalowany, w wypadku samochodowym.

Obserwując pracę urzędniczą, wybrałem na sekretarkę rektora niepełną dwudziestoletnią Zofię Zielińską. Miałam jedną wadę, pochodziła z rodziny ziemiankiej, tak zwanej obszarnej, spod Gródna i nie zaakceptowano mego wyboru. Wobec tego ożeniłem się z nią i już trzydziści cztery lata w chwili, kiedy piszę te słowa, jesteśmy małżeństwem. Zaproponowano mi jako sekretarkę członka partii, panią Honoratę Mateusiak. Nie miałem w życiu lepszej, sprawniejszej i lojalniejszej sekretarki. Wyszła za mąż za lekarza, ma dziś córkę lekarzkę i wnuki, a przyjaźń nasza trwa.

„Ale oto zabawy szczegół. Krótko po ślubie, który odbył się cichutko, bez wesela, byłem w Warszawie, w Ministerstwie Zdrowia na jakiejś naradzie. Wszyscy wiedzieli o moim ślubie, bo miałem opinię zatwardziałego starego kawalera, toteż zeszła podchodził znajomi i koleżki, ścisiali mi dłoń i życzyli szczęścia, wśród nich jako pierwszy miły minister Stachurski. Mówił wszystkim automatycznie: „dziękuję, dziękuję”. Ale podszedł profesor Hirsfeld, także dziękował. Ale Hirsfeld, który był zawsze w chmurach (pani Hanna Hirsfeldowa mówiła mi często: „Ludzieku, jeżeli na ziemię nie wiedział za co mu dziękuję i tylko spotał”).

Panie Tadeuszu, czy czytał pan moją ostatnią pracę o immunologii ciąży? Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie, ale na pewno przeczytałem, bo to teraz dla mnie może być aktualne.

I było, bo 23 lutego 1952 roku urodził się jako białostoczanin nasz syn Maciej.

Dzięki pomocy wielu mądrych i zycznych ludzi akademia rozwija się, co już kiedyś szczegółowo opisałem („Kwartalnik Historii Nauki i Techniki PAN”, R. XXV, 2/1980). W ciągu tych lat pracy największe oparcie miałem w osobie kierownika Wydziału Zdrowia dra Witolda Stawiewicza. Był to człowiek ogromnie opany, spokojny mądry w najlepszym tego słowa znaczeniu, którego porad nauczylem się słuchać. Pewnego razu zwrócił mi uwagę na osobę wybitnie zdolnego i fachowego, i organizacyjnie chirurga, dra Adama Dowgirda, dyrektora szpitala w Hajnowce. Pojechałm się do Stawiewicza do Hajnowki, gdzie wśród pierwszych drzew Puszczy Białowiejskiej stał szpital, zbudowany niedawno miejscowymi siłami, jak wtedy mówiono — sposobem gospodarczym, przez Dowgirda. Szpital prezentował się doskonale, a jego dyrektor wykonywał operacje płuca w Białymostku jeszcze niedoświadczony. Namówienie dra Dowgirda na przeniesienie się do Białegostu kosztowało nas wiele wysiłku, ale powiodło się. Białostocka służba zdrowia i Akademia Medyczna zadowolając się Dowgirdem zarówno jako budowniczym szpitali, obiektów sportowych, sal wykładowych itp., jak i chirurgowi wysokiej klasy bardzo wiele. Habilitował się w akademii, ale wolał pracę swobodniejszą od reżimu akademickiego.

W drugim roku istnienia akademii dzika-nem został profesor Tadeusz Dzierżykraj-Rogalski. W pierwszym bowiem roku sam był rektorem, dziekanem, budowniczym i lekarzem dyżurnym, bo w nocy budził mnie czasem chorzy studenci, raz nawet student, którego bolał ząb. Nie dziwnie, mieszkał przecież w akademii, w skrzydle pałacu Branickich. Marzyliśmy tam z żoną, w nocy chodziliśmy więc sam do kotłowni, wygaszając, bo palacz spał głęboko z butelką w ręce.

A zimy w tej stronie kraju bywały piękne, lecz surowe. Kiedyś było tak zimno i tyle śniegu, że na pewnej ważnej konferencji w ministerstwie nie spodziewano się mnie w ogóle. Kiedy jednak nieznacznie się spóźniłem, pytano jak dojechałem, czym? Odpowiedziałem, że arktycznym psim zaprzęgiem. (...) Białystok rósł dookoła akademii niezwykle szybko, pięknie i sensownie, choć w róż-

Ciąg dalszy na str. 5

## Nadniemeńskim szlakiem

— „Lud białoruski jest dziwnie dobry i spokojny (...), niemieckim, zapomniał przedko urazy doznane. Wszelkie nieporozumienie rad by zakończył zgodnie, w karcinie przy wodce...”. Pisał Oskar Kolberg charakteryzując ludzi zamieszujących Grodzieńszczyznę.

BIAŁORUSKIE narzecze graniczy z litewskim od rzeki Wilii przez Olszanę, Traby, Iwie, Lidę do Grod. Na skąd granica skreca na południowy zachód przez Knyś, Białystok, Boćki do Bugu przy ujściu rzeki Prysieki i powraca na wschód, granicząc z narzeczem małopolskim.

Interesująca jest chronologia dziejowa Białej Rusi. Od VI wieku zamieszkiwały tam słowiańskie plemiona Dregowiczów i Krywiczów. W IX w. Biała Rusz znalazła się w składzie terytorialnym Rusi Kijowskiej, zaś na początku wieku XIV w granicach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Po zawarciu unii polsko-litewskiej w 1569 roku, tereny zamieszkiwane przez Białorusinów zostały włączone do Rzeczypospolitej. Trwały związki obu narodów istniały aż do rozbiorów, kiedy to Białorusi dostali się pod berło carskiej Rosji. Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości, na mocy Traktatu Ryskiego z 18 marca 1921 roku, zachodnia część Białorusi znalazła się ponownie w jej odrodzonych granicach. Wybuch drugiej wojny światowej spowodował na mapie Europy i Środkowej kolejne zmiany.

Brzozówka (Bieriezwka) — niewielka miejscowość nad Niemnem, o której pisałm w poprzednim Magazynie „GW”. Tym razem odwiedziłem jedną z mieszkanki tej małowicznej osady, aby lepiej poznać codzienne problemy mieszkających tam ludzi. W bezpośrednim sąsiedztwie parku znajduje się nowe osiedle mieszkaniowe. Maria Czałotko zajmuje mieszkanie szubowe składające się z pokoju, kuchni i łazienki. Urodziła się około Nowo-

# STO RUBLI SZTRAFU

nik znajduje się w stanie nie-trzeźwym, a ja dopuszczam go do pracy, to — przy ewentualnym ujawnieniu tego faktu przez dyrektora — muszę zapłacić 100 rubli sztrafu. Przy 200-rublowej pensji nie jest to bagatelna suma. Z kolei robotnik przy pierwszej wpadce płaci 30 rubli, przy drugiej — 50, a przy trzeciej — 100.

— Cały wiec ciężar walki z alkoholizmem nałożyła władza na średni dozor techniczny. A efekt tego jest taki, że pijanych w robocie coraz mniej.

Sąsiedni pokój w tym samym mieszkaniu zajmuje Maria Kasper, serdeczna przyjaćciółka tej pierwszej Marii.

Pochodzi z okolic Szczucina, a jej rodzice — zarówno

— są Polakami, Ojciec, Wa-

lerian, jeszcze w końcu wojny służył w polskim wojsku. Od naszego generała dostał nawet jakieś wysokie odznaczenie, które dumnie przechowywał w domowej szufladzie. Kasperowie związani są ze Szczucinem jeszcze od czasów Rzeczypospolitej. Przypomnijmy tak podaje rodzinną legendę i chociaż Maria mówi, że z pochodzenia jest Polką, nie potrafi rozmawiać w języku swoich przodków. Zresztą i w Polsce nigdy jeszcze nie była.

Po ukończeniu Instytutu Pedagogicznego w Grodnie (matematyka) rozpoczęła pracę w republikanckim szkolnictwie. Obecnie jest zastępcą dyrektora Szkoły Podstawowej w Bieriezwce. Twierdzi, że nauczyciele w ZSRR zarabiają zupełnie przyswoicie. Ona otrzymuje 260 rubli, ale już pętrzymuje z 20-letnim stażem osiąga 300 rublowe pobory. Nawet stażysta, bezpośrednio po szkole, dostaje 130 rubli na dobry początek. A wszystko to

przy 18-godzinnym tygodniu pracy.

I jeszcze jedna sprawa, która może zainteresować polskiego czytelnika. W bieriezwskiej szkole już od pierwszej klasy dzieci uczą się angielskiego i tak przez 10 lat. Po ukończeniu tego kursu będą mogli więc dość swobodnie posługiwać się tym językiem.

Maria spod Nowogrodka robi kawę po polsku. Była już na Białostocczyźnie i wie, że Polacy najpierw syją kawę do szklanki, a później zalewają ją wrzącą wodą. Miejscowi gotują ją w specjalnych miedzianych naczyńkach, przez co wzmacnia się aromat czarnego płynu.

Do kawy podaje Masza szpryty w oleju, owoce, blok czekoladowy i szampana. — A może masz kawior? — zapytałem w pewnym momencie, mając na myśli astrachańską ukre. — Jest — odpowiedziała. — Wisi na ścianie.

Gdy wyjaśniła się ta zabawna historia, okazało się, że kawior to w języku rosyjskim dywan, a ukra, którą miałem na myśli to i u nich ukra, chociaż jest jeszcze i inne znaczenie tego słowa: tydka. Ewentualne skojarzenia mogły się jednak wydawać niebezpieczne.

Co się zaś tyczy dywanów, to na Białorusi istnieje powszechny zwyczaj wykładania ich na ścianie. Na podłodze kładzie się zwykłą wykładzinę albo wiejskie pasiaki.

W CZESNE POPOŁUDNIE. Przy sklepie z elektroniką dwie babce sprzedają marnie jakości owoce. Grubawy mężczyzna zaprasza przechodniów do zakupu czerwonych i różowych goździków. Samo życie.

Na Litwie mają Sajudis — mówię do młodego człowieka stojącego przy zaparkowanej ładzie — a co robi się w pierestrojce na Białorusi?

— Niewiele. W Mińsku założyli jakąś organizację, ale jak zebrał się na wiec, to rozgonili ich milicja. Najlepiej widać pierestrojkę w sklepach. Coraz bardziej pustot. Nie mówię już o technicznych rzeczach, ale o podstawowej żywności. Jak dalej tak będzie, to dojdziemy wkrótce do polskiego kryzysu. Całe szczęście, że można pojechać do Polski i kupić tam coś z odczytu. U nas też powstały kooperatywy i szły modne rzeczy, ale nie mają takich materiałów jak w Polsce. Albo kasety magnetofonowe. Czy nie można wyprodukować ich w ZSRR w dostatecznej ilości? Można. Tyłko, że przemysł nasz nie jest do tego przygotowany. Odrobnie kierowanie gospodarką zrobiło swoje.

Wozili Polacy z Kraju Rad telewizory, wozili glazurę i aparaty fotograficzne. Teraz — gdy władze celne niemal wszystkich zakazają — turyści z Polski wiozą stamtąd... grzyby.

Na wszystko jest rada — powiedział stary bywalec bazaru na Bema. Armia radziecka i polski turysta są niezniszczalne — przynajmniej w ostatnich latach XX wieku.

SYLWERIUSZ DWORAKOWSKI

— Jestem kobietą silnej ręki — powiedziała Maria Czałotko, inżynier w spółnicy.

Fot. autor

## WOKANDA

EUSTACHY MUZYK poznał Albina Tolińskiego w zakładzie karnym w Barczewie. Na początku sierpnia 84 r. Eustachy wyszedł na wolność i wrócił do rodzinnej wsi. Zamieszkał u swojej 75-letniej babci, Alfredy Batun — głuchej od pół wieku, która tylko po ruchu warg rozmawiała z nim. Babcia była bardzo oszczędna. Latem często chodziła na grzyby, a otrzymane za sprzedawanie pieniędzy składała na PKO. Miałła również taki zwyczaj, że pieniądze przeznaczane na codzienne zakupy nosiła przy sobie w poczekalni odpowiednio przywiązanej do pasa, bowiem zbyt wiele nie ufała wniklowi.

Wnuk podjął pracę w OTL-u w Hajnowce, dokąd codziennie dojeżdżał. Życie Alfredy Batun i Eustachy Muzyka od trzech lat toczyło się w miarę normalnie, bez specjalnych wstrząsów.

Aż przyszedł dzień 28 sierpnia 87 roku. Wracający z pracy Eustachy Muzyk czekał na dworcu PKP w Hajnowce na pociąg do stacji Białowieża Grudki. Na tym samym dworcu, na ten sam pociąg czekał także Albin Toliński. Dworzec w Hajnowce nie jest dworcem w Warszawie czy choćby w Olsztynie i obaj kumple z kicia musieli się

spotkać. Radość było wiele. Albin specjalnie wybrał się do Białowieży Grudek w odwiedziny do kompana.

Po przedstawieniu towarzysza niedoli babci, Eustachy zapytał, czy ten może u nich przenoćować. Babcia wyraziła zgodę i Albin Toliński został.

Rankiem 29 sierpnia Eustachy Muzyk jak co dzień pojechał do pracy. Albinowi, który po opuszczeniu zakładu karnego zamieszkał w Dro-

hiczynie, nigdzie się nie spieszyło. Omówił się, iż zaczął na powrót kolegi. Nie było to oczekiwanie bierne. Albin przez cały dzień pomagał Alfredzie Batun w pracach gospodarskich, w tym także w omlotach. Babcia była zadowolona do tego stopnia, iż na-zastrzy, akurat wypadała niedziela, dała mężczyźnie pieniądze, żeby sobie wypili.

Dzień upłynął im na wspominkach z Barczewa sto zakrapianych wodką i winem. W poniedziałek Eustachy, jak zwykle, pojechał do pracy, a jego kompan pomagał w gospodarstwie. 1 września Alfreda Batun i Albin Toliński umówili się, że od dziś razem będą chodzili na grzyby, a potem je sprzedawali, tak by Albin zebrał trochę pieniędzy, gdyż lada dzień za-

mierzał wracać do Drohiczyna, a był bez grosza.

Wyruszyli następnego dnia. Grzybobranie było udane i po południu zanieśli do punktu skupu 18 kilogramów opieniek, za które otrzymali 960 zł. Pieniężni tymi podzielił się nie po przyjacielsku, a po połowie.

Na drugi dzień odstawił 18 kg za sumę 1.080 zł. Po skasowaniu pieniędzy, Albin chciał pożyczyc od babci kumpła tysięcy złotych. Pożyczkę odmawiała, ale potem uległa prośbie i pożyczka pieniądze, za które nabył 3 butelki wina. Kiedy zorientowała się, na co przeznaczają pieniądze, zabrała dwie flaszki i schowała. Wracający z pra-

ka, który zakłada na szyję leżając i silnie zaciska pętlę, wiążąc węzeł.

Alfreda Batun już nie żyje. Morderca dokładnie okrywał jej zwłoki zebranymi gałęziami. Teraz rocznica pochozoch, w której — zawiadomiony — znajduje tylko 20 tysięcy. Postrawia jak najprędzej. Najbardziej drogą opuścić miejsce zbrodni i wies.

Z zeznań kasjerki stacji PKP Białowieża Grudki wynika, że morderca przyszedł na stację około 12.10 i po zasięgnięciu wiadomości, o której odjeżdża pociąg do Bielska Podlaskiego, poprosił o bilet.

Zapłacił chciał banknotem o nominale 5 tysięcy. Kasjerka nie miała reszty. W tej sytuacji Albin Toliński udaje się do pobliskiego punktu skupu grzybów, gdzie rozmienia pieniądze na pięć banknotów po tysiąc złotych. Pracownica punktu skupu wyraziła wątpliwość, czy i z tysiąca kasjerka na stacji będzie mogła wydać resztę. Ponieważ traktowała go już jak stałego klienta, sama z własnej woli pożyczyla 100 zł. Morderca wrócił na stację, wykupił bilet i po 30 minutach odjechał.

Dopiero po dwumiesięcznym ukrywaniu się został ujęty. Przysłał się do popełnienia zarzucanego mu czynu i złożył zgodne ze stanem faktycznym wyjaśnienia.

W toku prowadzonego postępowania przygotowawczego do Prokuratury Rejonowej w Hajnowce napływały kolejne sprawy o przestępstwa doko-

nane przez Albina Tolińskiego na terenie innych województw.

Przy okazji poprzedniego wyroku był już poddany badaniom psychiatrycznym. Nie stwierdzono wówczas choroby umysłowej ani upośledzenia umysłowego. Rozpoznano natomiast cechy nieprawidłowej osobowości.

Mając powyższe na uwadze, a także okoliczności i charakter popełnionej przez niego zbrodni, uznano za niezbędne poddanie go badaniom a następnie obserwacji psychiatrycznej raz jeszcze.

Po trwającej blisko pół roku obserwacji biegli psychiatrzy i psycholog nie stwierdzili u oskarżonego choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego ani zespołu psychoorganicznych. Rozpoznali natomiast osobowość nieprawidłową, nie dojrzałą. Jednocześnie stwierdzili, że stan psychiczny nie zniósł ani nie ograniczał w stopniu znaczącym poczynności badane.

W lutym tego roku przed Sądem Wojewódzkim w Białymostku odbyła się rozprawa. Oskarżonego skazano na 15 lat pozbawienia wolności i 10 lat utraty praw publicznych.

Prokuratura Rejonowa w Hajnowce za pośrednictwem Sądu Wojewódzkiego w Białymostku założyła od tego wyroku rewizję do Sądu Najwyższego, wnosząc o karę pozbawienia wolności w wymiarze 25 lat.

Sąd Najwyższy uznał za sładność rewizji.

Jest to o dwa lata mniej niż liczy sobie skazany.

WYDMA P.S. Imiona i nazwiska zmieniono.

## Alkohol i kierownica

Połączenie alkoholu i kierownicy przynosi fatalne skutki pod każdą szerokością geograficzną. Wiadomo, że alkoholizm kierujących i pieszch jest olbrzymim problemem w Polsce, ale nie jesteśmy pod tym względem ani lepsi, ani gorsi od innych nacji. W prasie zachodniemieckiej — nie tylko tej fachowej! — pojawiają się ostatnio publikacje wręcz alarmistyczne. Niemcy z przyrodzoną sobie skrupulatnością wylizają tragiczne skutki i olbrzymie straty materialne powodowane przez nietrzeźwych użytkowników dróg. Poniżej prezentujemy jeden z takich tekstów zamieszczony w „STER-NIE”.

„Smakoszke żują gumę lub ssą tabletki pieprzowo-miętowe. Zastwardziali grzesznicy tykają przyprawy do zup, aby w ten sposób zatuszować zdra-dziecki odór alkoholu. Aż czterech spośród pięciu zapy-tanych kierowców gramoliło się za kierownicę mimo zaliczonych kilku kolejek. Oni wierzą w cudowne działanie środków przeciwwzrachowych i liczą na to, że nie spotkają policji drogowej. Jest to z ich strony duża lekkożylność.

Większość kierujących ma trochę szczęścia i takie jazdy na dwóch gazach uchodzą im bezkarnie, postępują wyjątkowo w ten sposób. A pilars jest przerażający. W 1988 roku kierowcy w RFN byli 93 milionów razy nietrzeźwi — od 0,8 promille w górę. Te tendencje zrywkują. Wykryty został — tak się to ocenia —

## NASTĘPSTWA SĄ PRZERAŻAJĄCE

Co drugi spośród 8216 zabitych w wypadkach drogowych w 1988 roku był — wykazywało badania uniwersyte-tu w Zagłębiu Saary — ofiarą kierowcy z promilami. Oni po prostu szokują tymi fatalnymi rekordami.

Jeden z monachijskich pomylił Norymbergę z Bayreuth. Powód — 3,31 promille alkoholu we krwi. Murarz z Goettingen turlał się swoim egzotycznym po piwo, a miał już we krwi 4,1 promille alkoholu. Układając glazurę z Augsburga posuwał się swoim Opłem drobnyimi skokami — 5,11 promille. Przerażający! Prawdopodobieństwo spotka-

nia pijanego kierowcy jest trzy razy większe niż trafienie w toto-lotka. W co 316 samochodzie siedzi wstawiony kierowca. Tylko połowa posiadaczy prawa jazdy prowadzi samochody z jasnym umysłem. Są to przeważnie abstynenci, lub zaliczani do tzw. normalnie pijących. To co dla naukowców może wydawać się „normalnym”, wystarcza z nawiązką tym „wstrzymującym się od picia”, by być na pełnym rauszu.

30 szklanek piwa tygodniowo, maksymalnie 15 szklanek przy jednorazowym nadzwyczajnym spotkaniu (wypity alkohol przelicza się w RFN przez porównanie do pilsnera). Ci normalni pijacy uważani są za alkoholowe niewiniątka. I to wcale nie z powodu niewielkiej ilości wypitego alkoholu, lecz dlatego, że po większej piątce zostawiają samochód. Wielu z nich — dowodzą tego badania — na nic innego już nie stać. Oni przeważnie nie mają wyboru, gdyż albo śpią na stojąco, albo też zbierają się do „zwro-

cenia” tych wszystkich do-brych rzeczy.

Są jednak i tacy, którzy wprawiają swoje auta w ruch, ale ci nie mają żadnych szans i bardzo szybko wpadają na policyjne patrolce, czy to z względu na wyjątkowo „prostą” jazdę, czy to z powodu jazdy bez świateł po zmroku.

## GRUPA CZĘSTO PIJĄCYCH

sprawia szczególne kłopoty. Ludzie ci piją niewielkie ilo-

ści alkoholu, ale czynią to dość często, służą temu najróżniej-sze okazje. A to jakieś obie-wanie w miejscu pracy, a to kilka jasných po służbie lub wieczornych ćwiczeniach... Wszystko to koncentruje ilość alkoholu w pobliżu dozwolonej granicy — 0,8 promille. Prowadzenie auta z alkoholem w krwi powyżej tej granicy rodzi określone konsekwencje prawne, ponieważ „ucięka” pełna zdolność do sprawnego prowadzenia pojazdu mecha-nicznego. Oczywiście, ci pyskujący bohaterowie spośród tych często, ale mało pija-

nych nie chcą przyjmować do wiadomości, że autentycznie mają ograniczoną zdolność do kierowania np. samochodem. Właśnie z powodu fałszywej samoceny są oni tak samo niebezpieczni jak kierowcy całkowicie pijani.

## PROMILLE, PROMILLE...

Alkohol przedostaje się do krwi głównie przez żołądek i jelita, po czym zostaje równomiernie „wymieszany” ze wszystkimi płynami organiz-

mu. Substancje płynne w organizmie wynoszą ok. 70 proc. u mężczyzn i 60 proc. wagi ciała u kobiet.

Słosunek płynu w organizmie do alkoholu jest mierzo-ny w częściach tysięcznych. Promille w dostownym tłumaczeniu oznacza „na tysiąc”. Wielkość ta daje więc odpow-iędz, ile części alkoholu przypada na każdą tysięczną część krwi. Części te zostają przeliczane na gramy. W zwy-klých przeliczeniach, potocz-ny rozumieniu oznacza to, że w jednym litrze krwi (ok. 1000 g) jest jeden gram czystego alkoholu.

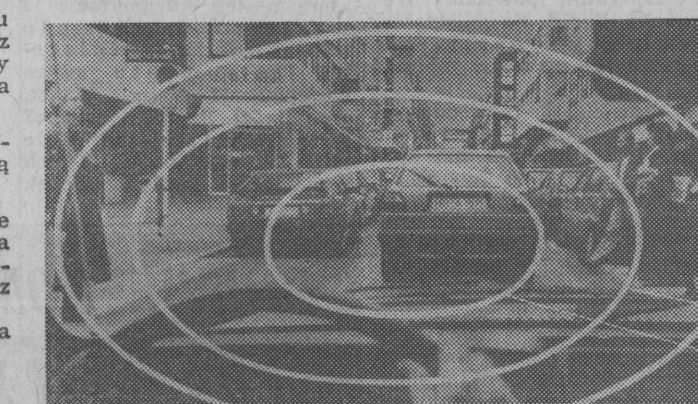
Niepewność w prowadzeniu auta może wystąpić już przy 0,3 promille. Kto z tego powodu podpadnie, ale nie po-przez np. stuknięcie, a w wy-niku rutynowej kontroli poli-cyjnej i zawartość alkoholu we krwi mieści się między 0,8 a 1,29 promille, jest po-ciągany do odpowiedzialności i grozi mu:

— grzywna do 3000 DM.

— cztery punkty we Flens-burgu.

— zakaz prowadzenia po-jazdów na trzy miesiące.

Od 1,3 promille rozpoczyna się pełna odpowiedzialność. Kto trafi na kontrolę z taką



Zachodniemieccy specjaliści od bezpieczeństwa w ruchu drogowym tak przedstawili obraz, jaki widzą kierowcy. Naj-większa elipsa — pole widzenia kierowcy trzeźwego, mniejsza o jedną trzecią, to pole postrzegania kierowcy z 0,8 promille alkoholu we krwi. Najmniejsza wreszcie, tzw. widzenie tunelowe, właściwe jest kierowcom, którzy mają 1,6 promille. Zmniejszonemu polu widzenia towarzyszy znacznie opóź-niony czas reakcji.

Fot. „Stern”

zawartością alkoholu we krwi ma jak w banku: — karę pozbawienia wolności do jednego roku i karę grzywny.

— siedem punktów we Flens-burgu.

— utratę prawa jazdy na minimum sześć miesięcy, a najdłuższ do pięciu lat.

Kierowca, który z zawartoś-cią alkoholu pomiędzy 0,3 a 0,8 promille, zostanie zatrzy-many za błędy popełnione w

czasie jazdy — bez narażenia ludzi i rzeczy — ponosi takie same konsekwencje prawne jak ten, który prowadzi auto przy zawartości 1,3 promille alkoholu i więcej”.

(Il. i opr. — jar)

P.S. Myślę, że z ostatnią częścią tego tekstu powinni zapoznać się rodacy, którzy wyjeżdżają do RFN na saksy. Wiadomo, że tani alkohol ku-si, a kary są dotkliwe, zatem uważaj!





## Niech nam żyje Ib z 36 SP

Fot. Zdzisław Lenkiewicz



## Spróbuj zrozumieć urwisa

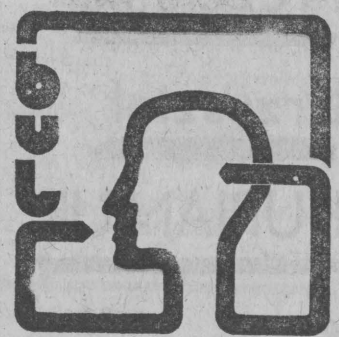
Na własnej skórze przekonałam się, że to prawda. IV „b” to najgorsze lobuzy w całej szkole. Nie wiem, jak dam sobie z nimi radę.  
— A co właściwie się stało?  
— Zupelnie nie umiem nad nimi zapamiętać. Mówię do nich i jakbym miała przed sobą ścianę, mam wrażenie, że w ogóle mnie nie słyszą. Najgłośniejszy jest ten Krzysiek... No wiesz... ten który się jąka. Inteligentny chłopak, ale co za charakter!...  
— Zdolny dzieciak. Niedawno zdobył drugie miejsce w olimpiadzie matematycznej.  
— Słyszałam. Wiesz że ma on duże kłopoty z mówieniem? Jaka się od szóstego roku życia. Czasami mam wrażenie, że jego agresja i nadpobudliwość to taka osło-

na. On w ten sposób „wyrównuje” sobie to jakanie.  
— Są to zasygnalizowane na przystanku autobusowym „roznozy” codziennie dwóch nauczycieli. Przyczyną ich frażament, ponieważ zawierają one trafne spostrzeżenia i mądre wnioski. Agresja, nadpobudliwość, czy też wrogość to niektóre z zachowań, które mogą mieć bezpośredni związek z jakanem. Badania specjalistyczne są tego potwierdzeniem. Wiele, wady wy-mowy bywała też przyczyną poważnych zaburzeń emocjonalnych.  
Na sposób zachowania w-

plyw ma nie tylko jakanie, choć zwykle jest ono najsilniejszym bodźcem stresującym. Może to być również: seplenienie, rotacyzm (czyli nieprawidłowa wymowa głoski „r”), nosowanie, ubezdźwięcznianie głosek, nieprawidłowa wymowa „k, g, l”, mowa niewyraźna.  
Dziecko, szczególnie w młodszych wiekach (klasa I-IV), nie jest na tyle dojrzałe, by mogło powiedzieć sobie: „jakanie nie jest całym tobą”, znaleźć w swojej osobowości zalety odsuwające na dalszy plan te językową ułomność. Dręci mnie odporność psychiczną, mogą nawet wskutek wad wy-

den jest szczególnie podatny na zdenerwowanie, ktoś inny ciągle ogryza paznokcie. Są tacy, którzy wiesznie gdzieś gonią, nie potrafią nad czymś się skupić — byle co odwraca ich uwagę... Jeszcze inni przetrzącają się z jednej czynności

Ciąg dalszy na str. 6



## Ocalić od zapomnienia

# Ziemne ślady

Najdawniejsze ślady egzystencji ludzkiej na ziemiach naszego regionu z upływem wieków utopiły się w otaczającej je środowisku, porośły lasem i trawą. Niekiedy są nimi jedynie kamienie wystające ponad powierzchnię gruntu lub skromne szczątki drewnianych, przeważnie zwałowanych konstrukcji.

Miejsc, gdzie w zamierzchłych czasach przodkowie nasi żyli, pracowali, budowali swoje siedziby i grzebali zmarłych za przyczyną niszczących działań czasu i wojen stały się pagórkami. W niższym krajobrazie Podlasia, północno-wschodniego Mazowsza, Mazur, a także na Suwalszczyźnie, rozstianych jest ich wiele, że trudno je odróżnić od naturalnych wzniesień terenu. Są to pozostałości po grodach, zamkach lub cmentarzach kurhanowych. Mają one podobnie jak dawne obiekty architektoniczne także wartość historycznej pamiętki.

Ziemne ślady po dawnych budowlach miejscowa ludność

kojarzy zwykle (oczywiście mylnie) z późniejszymi o kilkanaście wieków wydarzeniami najczystszej z „potopem” szwedzkim z XVII wieku. Stąd ich potoczne nazwy: „szwedzkie szanie” lub „okopy szwedzkie”.

Owe „okopy”, „grady”, „mogilki”, „zameczyska” i „uroczyiska” tu i ówdzie górują jeszcze nad polami w postaci mocno już zniekształconych wzniesień, zwykle kamienistych nieużytków. To też są pozostałości po niedługich, miejscami jednak trwałych, budowlach kurhanowych. W niższym krajobrazie Podlasia, północno-wschodniego Mazowsza, Mazur, a także na Suwalszczyźnie, rozstianych jest ich wiele, że trudno je odróżnić od naturalnych wzniesień terenu. Są to pozostałości po grodach, zamkach lub cmentarzach kurhanowych. Mają one podobnie jak dawne obiekty architektoniczne także wartość historycznej pamiętki.

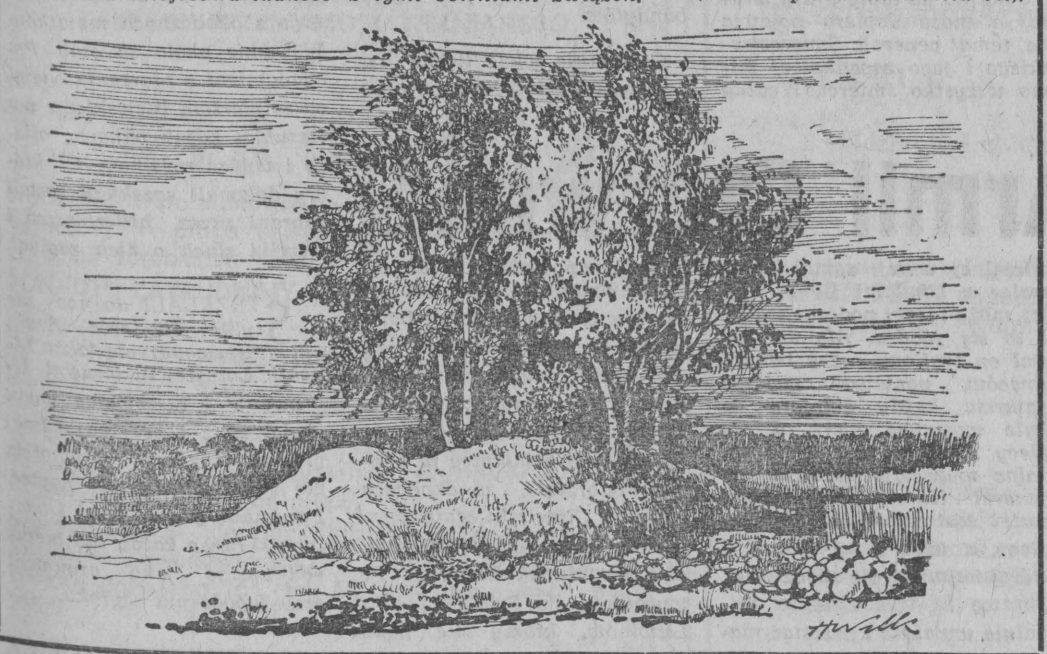
Te wszystkie obiekty archeologiczne: kurhany, grodziska i zameczyska są jednak nieme. Nic bowiem nie mówią o poszczególnych ludziach i sytuacjach przez nich faktach. Jedynie legendy, podania i nazwy ludowe niejako ożywiają dziełowe postacie, mające urojeny czy też rzeczywisty związek z tymi obiektami.

Jednakże rzetelną wiedzę o zamierzchłych dziejach, życiu i kulturze materialnej pradawnych plemion i społeczeństw dostarczą nie leżące w ruinach budowli, lecz wyniki naukowych badań archeologicznych. Dotychczas archeolodzy zbadali przede wszystkim te obiekty, które dotrwały do naszych czasów dzięki temu, że ich masywna konstrukcja opierała się na niezmiennych fundamentach. W tym samym dniu studentów, zwiędli park. Nazajutrz skorzystali z gratisowego przejazdu kolejką do nadleśnictwa Królewskiego. 16 czerwca część wycieczki zwiędliła tartak w Stoczku, pozostali zaś zapoznali się z boskami sosnowymi. Wieczorem

Tego rodzaju zabytkowy zbadano w regionie ponad 600. I nadal każdy rok przynosi nowe odkrycia, na podstawie których archeolodzy uzupełniają wiedzę o najdalszej przeszłości tej części naszego kraju.

Tekst i rysunek  
HENRYK WILK

Na rysunku: jeden z kurhanów z III-IV wieku w Rostochach koło Białegostoku (widok sprzed kilkunastu lat).



## ARCHIWALIA

1 CZERWCA 1932 r. do Białowieży przybyła wycieczka Wydziału Rolniczo-Leśnego Politechniki Lwowskiej. Trzydziestu paru studentów towarzyszyło trzech profesorów oraz trzech asystentów. Na stacji gościł powitał leśniczy nadleśnictwa „Rezerwat” (przemianowanego w parę miesięcy później na „Park Narodowy w Białowieży”). W tym samym dniu studentów, zwiędli park. Nazajutrz skorzystali z gratisowego przejazdu kolejką do nadleśnictwa Królewskiego. 16 czerwca część wycieczki zwiędliła tartak w Stoczku, pozostali zaś zapoznali się z boskami sosnowymi. Wieczorem

rekcji Lasów Państwowych w Białowieży. Już na wstępie stwierdził, iż z takim sposobem przyjęcia nie spotkał się dotąd nigdzie w swojej 25-letniej praktyce. Owszem, profesor nie stawia zarzutów pracownikom nadleśnictwa „Rezerwat”, który przyjął ich wycieczkę „wedle form towarzyskich Europy Zachodniej”. Natomiast z „postępowania Dyrekcji i jej personelu wiał powiew wschodu, a może nawet Azji”. Oburza się dalej Kozłowski, iż w ciągu trzech dni pobytu żaden z szefów nie kontaktował się z jego grupą, nie zapisał jak się wycieczka powiodła, jak się podoba puszca itp. Ma pretensję do dyrektora, który ponoć

# Profesorskie fochy

studenti pod kierunkiem wspomnianych już pracowników nadleśnictwa „Rezerwat” zwiędli muzeum. Następnego dnia po pożegnaniu na stacji, udali się do Hajnówki, gdzie mieli możliwość zapoznania się z fabryką chemiczną. W Białowieży skorzystali z noclegów ulgowych (1,50 zł od osoby za dobe) w schronisku turystycznym.

Wydawało się, że zarówno studentów, jak i ich opiekunów, powinni być zadowoleni z takiego przyjęcia. Niestety, okazało się, że jest inaczej!

W nr. 15 z 17 lipca 1932 r. w wychodzącym we Lwowie dwutygodniku „Aktualne wiadomości leśnicze”, został zamieszczony list profesora Politechniki Lwowskiej, Aleksandra Kozłowskiego, opiekuna wspomnianych wycieczki. Uczony dał upust żalom, które skierował pod adresem Dy-

rekcji Lasów Państwowych w Białowieży. Już na wstępie stwierdził, iż z takim sposobem przyjęcia nie spotkał się dotąd nigdzie w swojej 25-letniej praktyce. Owszem, profesor nie stawia zarzutów pracownikom nadleśnictwa „Rezerwat”, który przyjął ich wycieczkę „wedle form towarzyskich Europy Zachodniej”. Natomiast z „postępowania Dyrekcji i jej personelu wiał powiew wschodu, a może nawet Azji”. Oburza się dalej Kozłowski, iż w ciągu trzech dni pobytu żaden z szefów nie kontaktował się z jego grupą, nie zapisał jak się wycieczka powiodła, jak się podoba puszca itp. Ma pretensję do dyrektora, który ponoć

przebywając w kasynie urzędniczym, podczas gdy uczestnicy wycieczki siedzieli w sąsiednim pokoju przy kolacji, nie zamilnił z nimi ani słowa. Pisze A. Kozłowski: „Rzecz zrozumiała chyba było, że wobec tego (...) nikt z uczestników wycieczki nie mógł ubliżyć tym wschodnim formom towarzyskim dyrektora i zbliżyć się do dygnitarza, nie zdając sobie sprawy ze swoich braków wychowania”.

Ostrze krytyki profesorskiej trafia następnie kierownictwo kolejki leśnej, które mu „nie pokazało się” leśniczego, który „oprowadzając (...) cały dzień w kółko po drzewostanach mniej więcej jednego typu ust nie otworzył” nadleśniczego żubrowego, który „zaszył się (...) w najgłębsze ostępy swej kniei” w przeciwieństwie do swoich czterech podopiecznych.

Ciąg dalszy na str. 6

# BIAŁYSTOK

## bliski memu sercu

Ciąg dalszy ze str. 4

nych środowiskach pozabiałostockich trwała nieufność taka sama — albo jeszcze surowsza — jak w przypadku Lublina i jego uniwersytetu.

Lublin był starym miastem o bogatej historii, a Białystok miastem młodym, zawiązującym swoje istnienie decyzją poprowadzenia linii kolejowej z Warszawy do Petersburga właśnie wtedy, a nie na przykład przez gubernialną Łomżę. Za koleją poszły fabryki włókiennicze, których wyroby miały znakomity zbył w ogromnym cesarstwie.

Intelektualnych sukcesów Białystok nie miał, nie był ośrodkiem kultury, nie miał muzeów, nie rozdził artystów, pisarzy. Pod koniec dwudziestolecia międzywojennego miał dobry teatr, ale kto znał przedwojenny Białystok, ten wspominał tylko hotel „Ritz” słynący znakomitą kuchnią. Nie pozostało po nim śladu.

Poza ministrem Sztachelskim i wiceministrem Krassowską, którzy zresztą oboje wychowali się w tych stronach i oczywiście poza ludźmi planującymi przyszłość kształt kraju, może także poza lokalnie patriotyczną garstką białostockiej inteligencji i świadomych swojej roli robotników, nikt w kraju nie wierzył w możliwość rozwoju w Białymstoku wyższej uczelni akademickiej. To co mi mówiono na rozmaitych spotkaniach w Warszawie i dużych miastach, było bardziej krytyczne od tego, co sądzono o Lublinie i jego Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Określenie w rodzaju: „Jeszcze jedna romantyczna a niepoważna fantazja tego marzyciela Sztachelskiego” było jednym z najdelikatniejszych. Bez żenady pytano co zbroił, że mnie za karę przeniesiono na polską Syberię. A mimo to czułem się dobrze w mieście tak bliskim Puszczy Knyszyńskiej i innych lasów, w krajobrazie, gdzie można było czasem w parku miejskim spotkać kiciącego żółcia.

Z początku szerzyła się wśród studentów obawa, że dyplom białostocki będzie ceniony niż na przykład krakowski i warszawski, i po pierwszym roku niektórzy studenci się przenosili. Później to się zmieniło, powszechnie wiadomo, jak korzystne i wygodne są studia w Białymstoku, z jego nowym domem akademickim, nowymi zakładami naukowymi, na przykład wspaniałym zakładem anatomii prawidłowej profesora Rogalskiego, i skromnymi, ale na razie dostatecznymi klinikami. Umieściliśmy je w budynkach przeznaczonych dotąd na inne cele, mianowicie w budynku administracyjnym Szpitala Miejskiego i przede wszystkim w nowo zbudowanym, dość dużym budynku, mającym mieć szkołę pielęgnarską. Pogorszyło to co prawda znacznie warunki pracy urzędników szpitalnych i warunki szkolenia i mieszkania pielęgniarów, ale innego wyjścia nie mieliśmy. Budowa nowoczesnego, dużego szpitala, wzniesionego według zmodyfikowanych planów warszawskiego szpitala białego, musiała trwać dobrych parę lat, ale stąd dziś znakomicie białostockiej uczelni i przede wszystkim ludziom chorym miasta i województwa.

Jedno po drugim powstawały w Białymstoku Towarzystwa Naukowe: Polskie Towarzystwo Lekarskie, Polskie Towarzystwo Fizjologiczne, a dzieki profesorowi Sławińskiemu i jego wszechstronności nawet Towarzystwo Historyczne. Pierwszy krajowy zjazd naukowy zorganizował profesor Dzierżykray-Rogalski, który też zainicjował na Suwalszczyźnie badania grobów kryjących szczątki wymarłych szczepów, w tym Jaćwingów.

Coraz łatwiej pozyskiwaliśmy nauczycieli akademickich, chcących obejmować w białostockiej katedry lub asystentury. Wiele lekarzy pracowało naukowo, doktoryzowało się. Trudności nie da się w życiu uniknąć. Wybiła na przykład śmierć twórcy „Rezerwatu” akademickiego epidemia czerwoności. Rozpoznałem ją natychmiast, zarządziłem co trzeba, przebieg był lekki. Próbowano mnie obwinąć o zaniechanie nie przesłuchania i nie zbadania „Rezerwatu”. Oświadczając, że nie miałem czasu, byle tylko lekarza akademickiego, który był i pracował. Okazało się zresztą, że wszyscy byli badani i niosciami nie było.

Znalazł się natomiast w uczelni psychopata, przeniesiony wskutek ciągłych konfliktów z Krakowa, który w donosił różnym władzom o rzekomych nadużyciach w akademii. Raz miały to być tak oburzające nadużycia finansowe, że spowodowały powołanie komisji z Warszawy. Już o ósmym rano pytałem mnie, co słychać w akademii. Odpowiedziałem o sprawach bieżących, o budowlach, egzaminach. „I nie po tym?” Powiedziałem, że chyba nie poszedłem do kliniki, prosząc dyrektora o nadzór nad tym, co się dzieje. Wyszła ze wszystkiego, co trzeba. Pytany, co słychać, dyrektor odpowiedział dokładnie to samo co ja. Komisja poszła wówczas do Komitetu Wojewódzkiego, który zmusił do doniesienia, wypisał go o szczegóły i okazało się, że owszem, było nadużycie. Niepełnotni goniąc zostali przypiętani na rynku przy ulicy, do domu gospodarczego akademii i tam go skryczyano. Wiedziałem o tym oczywiście, ale ani mnie ani dyrektorowi nie przyszło nawet na myśl, że takiego można nazwać „nadużyciem w akademii”. Niepokoiło tym ministerstwo i Komitet Centralny partii. Ciekawe, że nie rozpoznałem wówczas, że donosił się chory psychicznie i oburzony, że miał z tym coś wspólnego.

Były też zabawne walki w stylu Don Kichota, które musiałem jednak prowadzić. Otóż w Białymstoku — podobno w pierwszych latach po wojnie i w innych miastach — ludność przybywająca ze wsi nie mogła zrozumieć rozrzuconych jak sąsiedzi brak wieprzka w gospodarstwie domowym. W Białymstoku czuło się wtedy charakterystyczny zapach nieomal koło każdego drewnianego domu z ogródkiem, z jakich składała się znaczna część tego miasta na dorobku. Tuż koło akademii, koło zakładów naukowych nie chciałem jednak tego tolerować i żądałem działania od uczelnianej administracji. Napotykałem niespodziewany opór. „Jak to, przecież jest to nieodzowne, ekonomicznie uzasadnione, nie wolno się temu sprzeciwiać, tak musi być”. Walczyłem, ale to chyba czas wygrał, nie ja, i betonowe wysoki wieżowiec.

I jeszcze jedno podobne zmaganie. W parku akademii, jeszcze bardzo zdziczałym, rosło wiele chwastów i ostów, a piękny dziedziniec przed pałacem był rozpaczywie zaśmiecony, głównie papierami, błagam, ale nie można było nikogo znaleźć, kto by z tym robił porządek. Każda praca w akademii uchodziła wtedy w miejsce za pracę bardzo honorową, za stanowisko. Zamiast tego stanowiska, dla przykładu wieś sam z żoną zbierałem z dziedziniec śmieci i niszczyłem chwasty, ale patrzone na mnie z okien pałacu jak na dziką i wcale nie zamierzano nasładować. Cieszy się, że teraz, kiedy czasem odwiedzam Białystok i akademie, mogę podziwiać przepięknie zadbane parki i kłasy czystości dziedziniec.

Zanim się zaczęło z Białymstokiem i jego akademią, chcę jeszcze opowiedzieć o paru ludziach.

Po zdobyciu dyplomu lekarza w Lublinie przyjechał i osiedlił się w Białymstoku mój siostrzeniec Jan Pietruski z żoną Zofią. Oboje się tu doktoryzowali, a później habilitowali — Jan w laryngologii, Zofia w internie. Ich syn, Jan-Junior, jest w chwili, kiedy to piszę, studentem medycyny. Połączyli mnie więc z Białymstokiem liczne

więzy rodzinne, a liczba lekarzy w rodzinie znowu wzrosła. Mój ojciec i dziadek, lekarze, cieszą się może w zaświatach, jeśli takowe istnieją.

Studenti pierwszego rocznika pamiętający Białystok w ruinie, a pałac Branickich w odbudowie, nie zrobili nam zawodu. Wiesław Dubiel-Tomaszewski został profesorem chirurgii w Uppsali w Szwecji, Tadeusz Janusko — profesorem swojej białostockiej uczelni, a inni jej docentami i zasłużonymi lekarzami w różnych stronach kraju. Pamiętam wszystkich, jeśli zaś tu któregoś nazwiska nie podałem, to proszę o wybaczenie.

Z działaczy społecznych i przedstawicieli władz pamiętam kilka osób dla akademii zasłużonych. Jeden z sekretarzy Komitetu Wojewódzkiego partii, nazywał się Michalski, tak się uczelnia opiekowała, że spotykałem go czasem nawet o piątą rano na budowie pałacu i na innych placach robót. Wspaniałym przykładem ideowego działacza politycznego był sekretarz KW Henryk Silek, którego potem przez wiele lat spotykałem w Gdańsku, gdzie pełnił różne funkcje. Nawet w najtrudniejszych chwilach nie było w nim nigdy uczuć nienawiści do nikogo i zawsze budził nadzieję, że będzie lepiej, zawsze chciał pomagać. Z pierwszych sekretarzy podziwiałem Grzegorza Wojciechowskiego, człowieka skromnego, z zawodu cieślę, socjalistę ideowego w typie tak zwanych utopistów — dziewczętnastowiecznych marzycieli, którzy mnie w czasie mojej paryskiej młodości tak fascynowali.

Dwaj wojewodowie interesowali się akademią: rzeczyciel Julian Hierosiecki, późniejszy długoletni sekretarz Rady Państwa i nieprzeciętnie bystry i inteligentny Mieczysław Moczar. Moczar był dla mnie przykładem samouka (twierdził, że ukończył tylko cztery klasy), którego wiedza z wielu dziedzin przekraczała poziom niejednego „inteligenta” z dyplomem wyższej uczelni.

Młodzieżowym działaczem politycznym był student Tadeusz Mieczysław Dorosko. Łączyły mnie z nim jak najlepsze, przyjacielskie stosunki, zawsze mi pomagał, radził i rzeczowo ze mną dyskutował. Poświęcił się problematyce organizacji służby zdrowia i społecznej problematyce medycyny. Jako kierownik wojewódzkiego Wydziału Zdrowia współpracował z Tadeuszem Szelachowskim. Dumni jesteśmy z tak udanych studentów białostockiej akademii, wymarzonej przez romantyka Jerzego Sztachelskiego, a budowanej z początku przez jakiś czas także i przeze mnie.

(...) Późną wiosną roku 1955 pierwszy, najzdolniejszy student akademii był już białostockim, bo studia trwały wtedy jeszcze tylko pięć lat.

Byłem fizycznie i umysłowo bardzo zmęczony — kończyłem siódmy rok pełnienia funkcji rektorskiej, a do tego trzeba doliczyć lata dziekanatu w Lublinie. Miałem koledzy i rówieśnicy, którzy po całym świecie na zjazdy naukowe i stypendia, publikowali prace i książki, niektórzy bogacieli się, mieli piękne samochody, a na Złotych Odrzańskich, także wile, a ja miałem dekawy, nienajsympatyczniej i wciąż nie dograne mieszkanie służbowe.

Białystok, w którym każdy o każdym wtedy wszystko wiedział, zmienił się. Pojechałem na rozmowę do niezadowolonego przełożonego, był Sztachelski. Nie musiałem mu wiele tłumaczyć, dala o wszystko, wiedział o wszystkim. Poprosiłem o zwolnienie mnie ze stanowiska, o wręczenie pierwszego dyplomu lekarskiego absolwentowi białostockiej akademii, która budowała wspaniały podstap. Sztachelski zgodził się i obiecał uwzględnić moją prośbę, ale zapytał, jaka funkcja chciałbym pełnić. Powiedziałem, że chcę być wreszcie tylko lekarzem, bo ten zawód, a nie inny, nawet nie profesorski, był celem moich studiów i planów życiowych. Znowu myślałem o Zakopanem i takie możliwości się zarysowały.

Jesienią ponownie zachorowałem i cały wrzesień leżałem w klinice chorób wewnętrznych profesora Tadeusza Tempki w Krakowie. Poprosiłem prektora, profesora Stefana Soszkę by w dniu 1 października zorganizował uroczystą inaugurację z rozdaniem pierwszych dyplomów, ale stało się inaczej. Przyjechał do mnie do kliniki w Krakowie prektor Soszka i dziekan Ludwik Komczyński, prosząc w imieniu Senatu i ministerstwa, bym jeżeli tylko mogę, przyjechał i uroczystość poprowadził. Nie mogłem odmówić.

W Białymstoku okazało się, że pierwsze dyplomy podpisuje nowy rektor, mianowany od 1 września, a nie ja, który z taką białostocką uczelnią zbudowałem. Podobno i Mojżesz nie zdołał dojść do Ziemi Obiecanej, ale wyrządził mi wielką przykrość.

Przygotowałem sobie tekst mojego przemówienia, odmówiłem jednak próbie o przekazanie go komukolwiek do akceptacji czy cenzury, bo nigdy tego nie robiłem ani ode mnie tego nie żądano. Podobno oczekiwano mojego przemówienia z niepokojem. Nie był jednak nigdy awanturnikiem. Przemówienie wygłosiłem ciele, godne wspaniałego osiągnięcia, jakim przecież było powstanie wyższej uczelni w tak przez historię skrzywdzonej części kraju jak ziemia północno-wschodnie i ich stolica — Białystok. Po wygłoszeniu przemówienia poszedłem do kulis, a stamtąd do domu. Dyplomy obiecał wręczać Sztachelski. Byłem już daleko, kiedy dągnęło mnie parę osób z prośbą, bym wrócił, bo mam być odznaczony. Nikt mi tego nie zapowiadał, ponieważ jak się okazało, bano się mojego przemówienia. Kiedy wróciłem, minister Sztachelski udekorował mnie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Nasza przyjaźń ze Sztachelskim nie ucięła, trwała do końca jego życia i spotykał się jeszcze wielokrotnie. (...)

Wydaje się, iż wspomnienia Profesora Tadeusza Kleianowskiego nie wymagają żadnego komentarza. Być może, pamiętacie obrazy sprzed niespełna czterdziestu laty, moją rolę w szczególności odciśniętą na tej innej barwy. Subiektywnie i tu odgrzywałem rolę zwłazacza, gdy się patrzy i ocenia ten sam fakt pod różnym kątem i z różnych punktów widzenia. Gdy podczas spotkania z Profesorem, mówił mi o kartach swoich białostockich studentów, zapytałem, czy byby ciekaw, co dziś pamiętają i o czym mogliby powiedzieć właśnie oni — studenci pierwszego rocznika AMB.

— Oczywiście, posłuchałbym ich z zainteresowaniem! — Padła odpowiedź.

Obiecałem więc Profesorowi, że spróbuję dotrzeć do tych lekarzy, którzy byli „Jego” studentami, mieszkają w Białymstoku, osiągnęli różne stopnie naukowe, a ich praca była lub nadal jest nieodzowna, tak dla społeczeństwa jak i postępu w medycynie.

Mam nadzieję, że jeśli nie wszyscy, to przynajmniej niektórzy lekarze pozwolą mi spełnić obietnicę daną Profesorowi.

AGNIESZKA ŚWIDZIŃSKA

P.S. Przygotowując do przedruku rozdział „Białystok” z książką prof. Kleianowskiego, dokonałem z zgodą Autora, nieznacznych skrótów, a także podkreśliłem (dustym drukiem) nazwiska. A.S.













# LAMBADA

## Sexy dance

Prawe udo należy umieścić między udami partnera. Brzuch ociera się o brzuch. Dolne części ciała kręcą się w biodrach. Co brzmi tak, jak by to było od dawna praktykowane. Pełne zaufania współdzia-

łanie kobiety z mężczyzną, a jest to po prostu brazylijski taniec o nazwie LAMBADA. Słowo to oznacza „cios biczem” co można przetłumaczyć również jako „nieprzewidywalność”. Ostrzejszy ponieważ bardziej ścisły i szybszy od tanga, mamby lub dirty dancingu i dlatego bardziej odpowiada ten taniec czasom AIDS: symulowany stosunek pociągający jest przeciwko niemu najlepszą gwarancją. Ruch w rytm muzyki synkopowej jest trudny i pełen napięcia, tak że obserwatorzy europejscy mówią przed jej spacerem niż o przyjemności. Na francuskim Lazurowym Wybrzeżu jest LAMBADA letnim hitem. W niektórych dniach płyty singlowe sprzedawane były w ilości 35 do 40 tys. szt. Ludzie interesu wykorzystują erotykę tego tańca, który powstał w brazylijskiej części Brazylii, aby w ten sposób za pośrednictwem lambady zareklamować limoniadę pomarańczową; w lipcu i sierpniu 250 razy emitowały te reklamy prywatne stacje TV. Czy ten ostry taniec jest tylko przemijającą modą letnią? Pewnie tak, gdyż przynajmniej w Brazylii da się już zauważyć objawy przesytu. Ale Loalwa Braz, śpiewaczka Lambada — Grupa Kaoma, wprost przeciwnie, twierdzi, że zima będzie najlepszym okresem dla Lambady, ponieważ taniec ten tak ładnie „trzyma ciepło”. (Jag)

# DZIWI ŚWIATA ROŚLIN



## Żarnowiec

Jest krzewem basenu Morza Śródziemnego. Przyjął się w Europie środkowej, ale spotkać go można tylko na słonecznych, zacisznych zboczach, gdzie w porze kwitnienia tworzy złocistożółte zarośla. Owocem — typowym dla wszystkich roślin z rodziny motylkowych — jest brunatny strąk. Przetwory żarnowca należą do leków silnie działających i można je stosować wyłącznie pod kontrolą lekarza. Wyciagi zawierają alkaloidy, sparteinę, która wpływa na pracę serca i macicy. Po jej zażyciu reguluje się rytm serca, zanika skurcze dodatkowe. Natomiast macica reaguje gwałtownym wzrostem skurczów, tak potrzebnych w akcji porodowej. Sparteinę stosuje się w migotaniu przedsionków i w niemierności pracy serca. Podanie jej w czasie porodu zapobiega atonii macicy. W aptekach bywa dobra mieszanka ziołowa zawierająca ziele żarnowca — Cardiosan; należy ją przyjmować w dolegliwościach serca, kołataniu i niemierności. Doskonale efekty uzyskuje się zwłaszcza u ludzi starszych ze skłonnościami do obrzęków. Na Zachodzie można kupić dwa znane leki stosowane przy niemierności pracy serca — Deposan (RFN) i Spartocin (USA). (Leng.)

## WAYDYKAMENTY

Nieraz nieuczestniczenie może być szczególnym rodzajem obecności. \* Rejtan: najbardziej polska barykada polskiej historii. \* Podporządkowanie się oficjalnej euforii, brawomysłność. \* Czy fortuna socjalizmu odłądzi kapitalistycznym kołem się toczy? \* Czy reparytacja sumień będzie też określona aktem legislacyjnym? \* Obok pluralizmu mamy jeszcze huralizm: czynienie uszytkiego na hurra. \* Ma to swoje hobby inkwizycyjne. Nawet samego siebie musi od czasu do czasu przetruturyzować. \* Lenin wiecznie żywy, ale czy wiecznie żywe są sądy o Leninie? \* Era pokazówek minęła. Teraz należy pokazywać samemu, co się umie. ZBIGNIEW WAYDYK

# A H O J!

Sezon tak zwany się skończył. Nie dla wszystkich jednak. Nie dla wszystkich. Mażury odetchnęły już, co prawda — przystoiowa „stonka” wróciła na łono. Rodziny ma się rozumieć. Łono przyrody leczy rany. Mięmy nadzieje, że do przyszłego roku się zabliznią. Ciesza i tylko gdzieś gdzieś, zwłaszcza podczas weekendów majestatycznie przyjeżdżają tam raki z ostatnimi prawdziwymi żeglarzami na pokładzie. Nie straszny im deszcz, a promienie jesiennej słońca ucale nie gorzej niż lipcowa „patelnia”. Jeszcze mają trochę czasu. Trzeba go wykorzystać, wszak ślupowanie planuje się dopiero na początek listopada, kiedy wiadomo już, że lada dzień jeziora zasklą się lodową taflą. Żaludnią się wtedy porty — te prywatne, małe i te renomowane, jak mikołajski. Zapłoną ostatnie ogniska i popłyną szanty. Nadejdzie czas letnich wspomnień. Trochę podobnych do naszych, a może dokładnie takich: o nowych przyjaźniach, flakach, regatach, przygodach niesamowitych, takich, które zdarzyć mogą tylko raz i tylko na Mazurach... Ahoj! Do zobaczenia w przyszłym roku — na Niegocinie, Taltowisku, w Kanakach, Wygrynach, „Rucianach”... Ahoj! A dziś mazurskie wspomnienia utrwalone przez ZDZI-SŁAWA LENKIEWICZA, ANDRZEJA KOZŁOWSKIEGO i nie tylko...

# HOROSKOP z przymrużeniem oka

## BARAN 21.03.—20.04

Tydzień zapowiada się raczej pogodnie i spokojnie. Pomyślnie przebiegnie przez wszystkie rasy, jakie otoczyły cie w życiu osobistym. W pracy mniej problemów niż zwykle, co będzie wynikiem zmiany twojego podejścia do niektórych spraw. Zdrowie dobre.

## BYK 21.04.—21.05

Z niespotykanym wigorem i wiarą w powodzenie nieśpiesznie się do spraw zawodowych. Choć osiągnięcia zamierzane, ale jak zwykle nie będziesz z siebie w pełni zadowolony. Nerwowy okres w sprawach osobistych. Szczera rozmowa może wiele pomóc.

## BLIŹNIĘTA 22.05.—21.06

Drobne niepowodzenia w pracy nie powinny cie tak łatwo załamywać. Przypomnij sobie niedawne osiągnięcia, a i tak ci będzie na sercu. Czas już przerwać cykliczne domowe waśnie. Musisz to zrobić ty i to jak najszybciej. Finanse w normie.

## RAK 22.06.—22.07

W najbliższych dniach nie będzie czasu na bujanie w obłokach. Mocne tempo w pracy, kilka spraw do załatwienia „na wczoraj” a wszystko to w ciężkiej atmosferze rozgrywek personalnych. Na szczęście w domu możesz liczyć na spokój i zroszczenie.

## LEW 23.07.—22.08

Pomyślny tydzień we wszystkich sferach życia. W pracy spektakularne osiągnięcia. Spłynie na ciebie tyle uznania i komplementów ile dawno nie było udziałem żadnego z współpracowników. W sprawach osobistych udane spotkanie towarzyskie. Miła Panna.

## PANNA 23.08.—22.09

Ważne wydarzenia domowe zdominuje najbliższe dni. Nie będzie zbyt dużo czasu na wypadki towarzyskie, na dalszy plan zejdą troski zawodowe. Finanse zwykłego, lecz nie szlachetnego, zadowolenia. Wkrótce będą bardzo potrzebne. Sympatyczne ryby.

## WAGA 23.09.—22.10

W sprawach zawodowych załatwienie nabrzmiałego, trudnego problemu pozwoli wrzeszcze odciągnąć z ulką. W sercu zdecydowana polityczna uczuć. W domu znajdziesz czas na odrobienie dawnych zaległości. Zdrowie i finanse dobre.

## SKORPION 23.10.—22.11

Tydzień spokojny pozbawiony stresujących wydarzeń. Będzie mało sporo czasu, aby pomyśleć nad twoją zawodową przyszłością. Nieraz lepiej wybrać drogę niepewną i ryzykowną niż trwać w byle jakiej stabilizacji. Finanse kruche. Miły Lew.

## STRZELEC 23.11.—21.12

Choć wydarzenia w pracy niezapewniają potocznie się po twojej myśli, z łatwością potrafisz znaleźć dla siebie miejsce w nowej rzeczywistości zawodowej. Spore zamieszanie w sercu — stan taki nie będzie wcale zbyt dokuczliwy. Znakomite finanse.

## KOZIOROŻEC 22.12.—20.01

Trudne dni w pracy. Wykonanie zaplanowanych zadań wymagać będzie całkowitej dyspozycyjności i nadgodzin. Nie daj się wciągnąć w intrzygi straty wynikłe z takiego załatwiania spraw są znacznie większe niż korzyści. Możesz liczyć na Byka.

## WODNIK 21.01.—20.02

Interesująca znajomość skłoni cie do istotnych przewidywań i nowego spojrzenia na sprawy zawodowe. Nie wierz pochlebcom, zdaj się na własny rozsądek i intuicję. Twoje załatwianie zdrowie coraz wyraźniej domagać się będzie większej troskliwości.

## RYBY 21.02.—20.03

Twoje odwagą i niekonwencjonalne pomysły w pracy przysporzą ci więcej kłopotów niż aprobaty. Żal do otoczenia nie jest tu na miejscu, zastanów się raczej czy nie zmienić klimatu na bardziej sprzyjający. Finanse w normie. Życiwe Bliźnięta.

# Supertaine!

W USA inwestuje się ostatnio olbrzymie sumy w rozwój supersamolotów, które byłyby niewidzialne dla radarów. Ale już dzisiaj wiadomo, że istnieją środki obronne przeciw tym widmowym maszynom. Produkt Lockheeda znany jest jako „Ghoshtrider” — w wolnym przekładzie może to oznaczać jeźdźcę ducha. Piloci nazywają go „freebee”. Stanowi on rozwinięcie formy myśliwca bombowego F-19A. W literaturze fachowej wystąpił on już dość dawno jako aparat, który nie ma żadnych kątów, żadnych form symetrycznych, o które mogłyby „zaczepić się” sygnały radarowe. Z góry jego powierzchnie nosne podobne są do dzwonu koscielnego. Z przodu wydaje się odwrotnie wygięty, czym sobie zasłużył na nazwę „freebee”, choć jego wnętrzu jest prawdziwym magazynem elektroniki. Jego systemy komunikowania i wykrywania wroga nie są — w normalnym pojęciu — aktywne. Radary, urządzenia radiowe i inne przechwytywały szumy elektroniczne, a te z kolei mogłyby zdradzić pozycję tej maszyny. Tymczasem samoloty tego typu „widziane” z zewnątrz nie dają najmniejszego echa, żadnego elektronicznego szmeru... „Niewidzialne” samoloty,

w tym ich wyposażenie, były jednymi z najlepiej strzeżonych tajemnic zbrojeniowych USA. Ujawnił je i opublikował amerykański fanlista milicji, znany autor — Tom Clancy w 1988 roku w bestsellerze „Red Storm Rising”. Waszyngtońskie służby wojskowe nabrały wówczas wody w usta i co do tego projektu zbrojeniowego — o naj-

bank 160 pracowników tej firmy oskarżył jej kierownictwo, zarzucając mu zmuszenie do pracy w warunkach wysokiego zagrożenia zdrowia. Ludzie ci żądali wysokiego odszkodowania. Rzecz cała w tym, że na wydziale pokrywania zewnętrznej powłoki samolotu warstwami ochronnymi panował wyjątkowy smród wydzielany przez środki chemiczne i pięciu pracujących przy tym robotników poniosło śmierć. Projekt budowy tego myśliwca noszący roboczy tytuł „Have Blue” był tak ściśle chroniony przed światem zewnętrznym, że tylko nieliczni spośród 850 konstruktorów orientowali się dokładnie na co z roku na rok wydatkowano setki milionów dolarów. Władze wojskowe do o-

statniego tygodnia nie chciały nawet potwierdzić istnienia tego samolotu, nie wspominając już o szczegółach technicznych. I teraz kurtyna tajemniczości nagle pękła. Pentagon postanowił „odkryć wolę” — fotografie i dane techniczne udostępniono do publicznej wiadomości. Ujawniając tajemnice projektu „Have Blue” lobby zbrojeniowe chciało krytyków wmanewrować w uzyskanie zezwolenia na produkcję bombowca nowej generacji — B-2. Ten najdroższy samolot świata od zarania lotnictwa — koszt jednostkowy 500 mln dolarów — wywołał ostry sprzeciw Kongresu USA. Ujawnienie danych dotyczących myśliwca bombardującego — tak przynajmniej uważali — tak przynajmniej uważali — było posunięciem, które miało przytłumić krytykę i wydatki związane z produkcją B-2. Przy konstrukcji bombowca B-2 projektanci i konstruktorzy położyli olbrzymi nacisk na uzyskanie go — podobnie jak „Ghoshtridera” — zupełnie niewidocznego. Rzecz cała w powłokach zewnętrznych i odpowiedniej elektronice. Jest bezszmerowy i absorbuje promieniowanie radiowe. Ciężkość zapewne będzie informacją, że te „niewidzialne” samoloty pokryte są tworzywem — specjalnymi środkami chemicznymi o grubości

keluka. Powłoki te mają strukturę molekularną, która „kradnie” energię powrotną fal radarowych. Z drugiej strony, w Moskwie pracuje się w olbrzymim tempie nad w pełni skutecznym systemem wykrywania tych maszyn. Ma on doprowadzić do zabezpieczenia się przed tymi samolotami poprzez: — zwiększenie długości fal radarowych służących do wykrywania tych samolotów z odległości kilku tysięcy kilometrów, — myśliwce MIG-29 i SU-27 oraz inne maszyny przechwytyjące mają być wyposażone w urządzenia radarowe, co przy użyciu tych środków pokładowych powinno pozwolić na wykrywanie z dużych wysokości wszelkich intruzów. Od góry np B-2 jest znacznie bardziej „widoczny” dla środków radiolokacyjnych niż z przodu lub dołu. Zastosowanie szerokiej — jak to planują Rosjanie — wiązki radarowej „niewidocznej” samoloty czyni praktycznie bezbronny...

Jak do tej pory samoloty typu „Ghoshtrider” nie brały udziału w prawdziwej walce. Zamierzano wykorzystać je w 1988 roku w Libii — na lot na jej stolicę — ale stacjonujące w bazie w Wielkiej Brytanii maszyny F-111 były bliżej, były już wielokrotnie sprawdzane i to właśnie one zdemolowały część libijskiej stolicy. (na podst. „Stern” i „Der Spiegel” — jag)

# KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 3) do kolorowania, 7) wlecie się w ogonie, 10) powinna być się w piersi, 12) kolorowana, 13) rąj na ziemi, 16) najlepsza pora do zakochania się, 19) „kawalek” taśmy filmowej, 20) pe pe t, 22) donośne głosy na ptn.-wsch. od Dębina, 24) gra na smutno, 27) błona z okiem na początku, 30) mamusia Edypa i jego dzieci, 34) miejsce pracy pigularza, 38) brytyjska pepesza, 39) marnowanie czasu, 41) niespodziewany z jasnego nieba, 43) jeżeli nowo, to bez sierpa, 44) ukończony Aldy, 47) dookoła, 50) daje się poznać w bledzie, 51) niestworzone rzeczy, 52) rycearz św. Floriana.

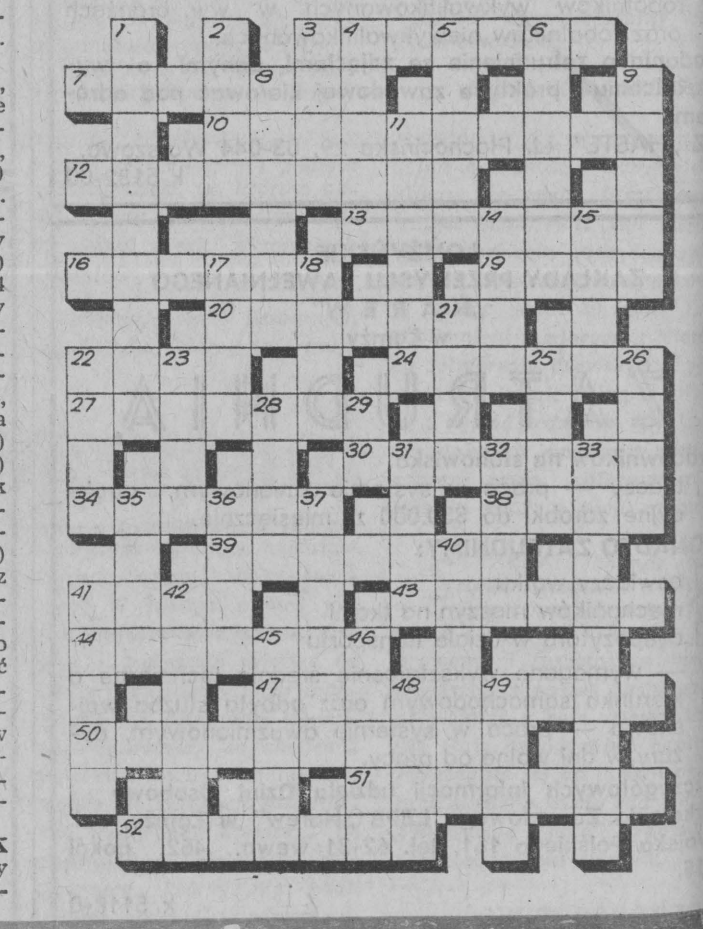
Wym trafne rozwiązania, rozlosujemy 5 bonów oszczędnościowych PKO po 2.000 zł. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z numeru 238”.

## ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 232

POZIOMO: sprzedaż, edykt, cholewa, Wańkowicz, włos, rzepa, indyk, teza, rysa, Erazm, Kinga, kocur, agona, gest, osąd, zapas, alibi, Ilja, kuratorka, zaranie, Cygan, krzykacz, diabeł, piroga, luka, rzaz, Arab.

## NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 226 z 29 września br. boni oszczędnościowe PKO wylosowali: Marta Chlińska z Sejna, Agnieszka Bajkowska z Jaswi, Anna i Justyna Kaszek z Wydmyn, Wiesława Majewska z Zambrowa oraz Jan Gutowski z Włocławka.



Wśród czytelników, którzy nadesłali w terminie 6-dniowego